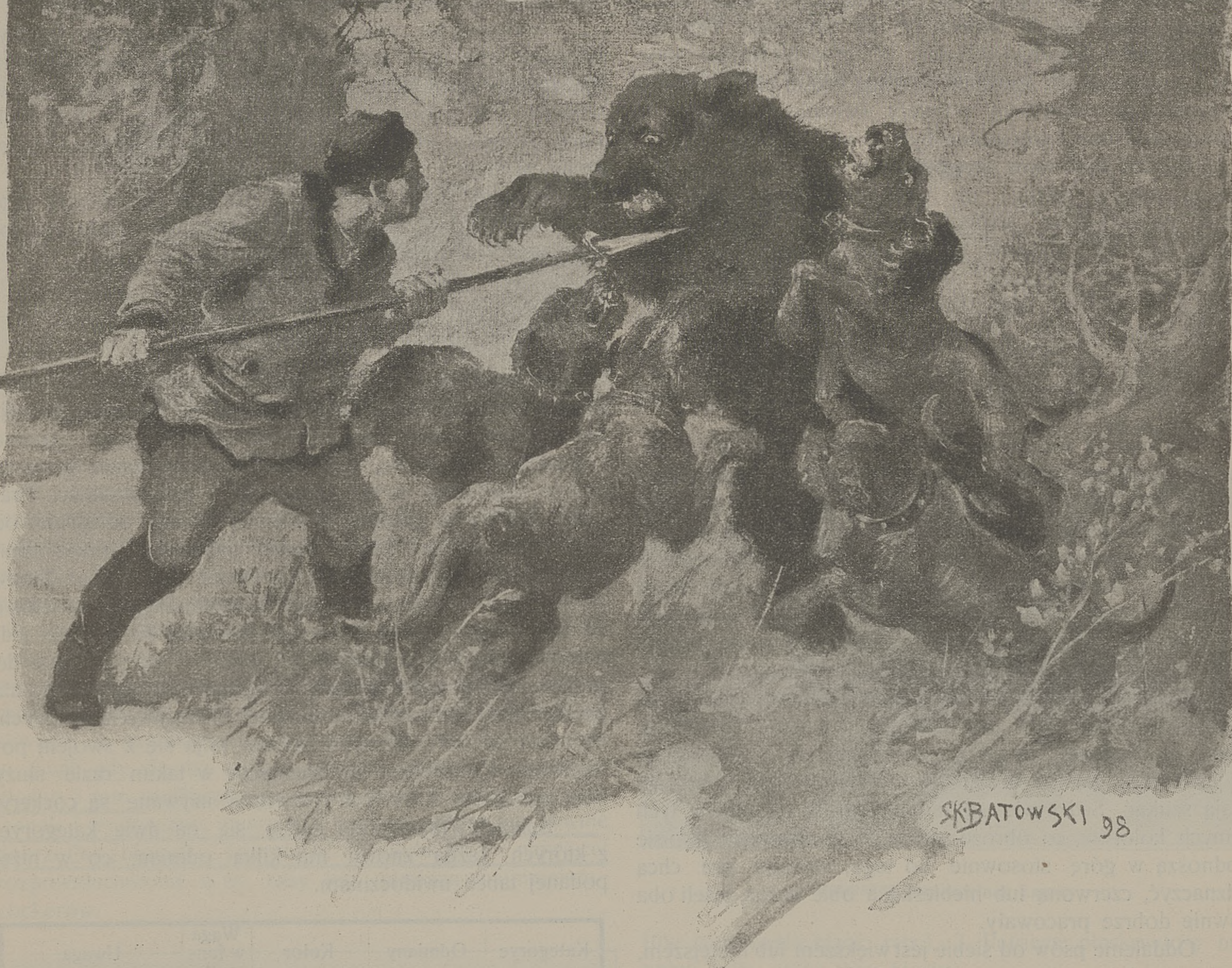
Nr. 4 Lwów, 16. lutego 1904. Rok XXVII

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Wyżeł i mało nam znane jego rasy.

(Przez ALBERTA MNISZKA).

I.

Wyżeł klasycznie tresowany.

U nas trudno jest bardzo spotkać się z psem legawym dobrze tresowanym. Powodem tego brak prawie zupełny hodowli szlachetnych wyżłów u nas, brak ludzi fachowych, jak i brak tego mnóstwa zwierzyny, na jakiej psy w krajach zachodnich tak łatwo zaprawiać można. Nieraz się słyszy, że ten lub ów leśniczy psy tresuje i że do nich myśliwi nasi wyżły swe na naukę oddają i przyznać muszę, że jak na nasze stosunki i wymagania bywają te psy wcale nie źle wychowane, ale widywałem często i takie, które bywały wprost nie do użycia. U nas jest bezwątpienia najlepszym ten pies, którego sobie myśliwy sam dla siebie, jak umiał, wytresował, takiego jednak psa nie można nazwać tresowanym, a cóż dopiero tresowanym klasycznie, takim, jaki się produkuje na field-trial'sach w Anglii, Francyi lub krajach niemieckich. My sami, nie mając sposobności widywania psów prawdziwie tresowanych, a tem bardziej polowania z nimi, jesteśmy wielkiemi dyletantami na tem polu. Mając nawet czasem psa dobrze tresowanego, nie wie się często, czego od niego żądać. Bywa pies u nas często za to bitym, że nie chciał zrobić tego, czego go nigdy robić nie uczono, a nawet robić zakazywano. Każda rasa ma swoje własności i specyalne zadania, każdy kraj swoje zwyczaje. Mając psa, zastanowić się trzeba najpierw, jakiej on jest rasy i w jakim kraju był tresowanym, zanim zaczniemy żądać jego usług. Widziałem lat temu kilka dwa pointery importowane z Anglii jako już ułożone. Psy posiadały bajeczne rodowody i kosztowały też bajeczne sumy.

Były to prześliczne, wprost czarujące stworzenia, godne zaiste lepszego losu, jak ten, który ich spotkał dzięki ignoracyi ich nowego pana. Ponieważ psy te nie umiały aportować, więc je głodzono i bito, aż w końcu oddano na poprawę do domorosłych pedagogów, którzy je zaprzepaścili. Gdyby ten pan był wtedy wziął do ręki pierwsze lepsze dziełko traktujące o tresurze psów angielskich, byłby się łatwo przekonał, że psom w Anglii wogóle, a szczególnie pointerom aportować nie wolno i takie nawet w pysk wziąć zabitej zwierzyny nie powinny. Ten fakt wyjaśnia nam, dlaczego pointery w ogóle niechętnie aportują i nauczenie ich tej sztuki wymaga więcej pracy, chociaż przyznaję, że widywałem pointery świetnie aportujące, te jednak urodzone i tresowane były u nas w kraju.

By dać łaskawym czytelnikom pojęcie, czem jest klasyczna tresura wyżła i jak wysoko stoi hodowla tych psów na zachodzie, pozwolę sobie opisać sposób urządzenia tam field-trial'sów, czyli popisów polowych, które mają to samo znaczenie dla hodowli tych zwierząt. co wyścigi dla hodowli koni. Pies zdobywszy pierwszą nagrodę w field-trialu jest tem, co koń zwycięzca w Derby, dochodzi do bajecznej ceny i staje się w połączeniu z tych samych zasług suką założycielem nieraz sławnej i renomowanej psiarni.

Na pewien oznaczony dzień jesienny w godzinie porannej zjeżdżają się na obrane do popisów miejsce właściciele psów, sędziowie, przedstawiciele prasy cynegetycznej i zaproszona publiczność. Żandarmerya czuwa nad porządkiem i nad poszanowaniem ustaw łowieckich. Jeden z sędziów jest zwykle konno, by w przypadkach wątpliwych mógł szybko i naocznie sytuacyę zbadać. Jeden osobno do tego przeznaczony funkcyonaryusz nosi na widocznym drążku tablicę z nazwiskiem współzawodniczących psów.

Na znak przez sędziów dany wyprowadzają dwaj współzawodnicy swoje psy opatrzone, jeden w czerwoną, drugi w niebieską obróżkę, na linewkach i stawiają je w pewnym oddaleniu od siebie frontem do terenu, w którym mają szukać. Sędziowie są zaopatrzeni w chorągwie tych samych kolorów, co obroże psów i po skończonym popisie podnoszą w górę stosownie do tego, którego psa chcą odznaczyć, czerwoną lub niebieską, a obie naraz, jeżeli oba równie dobrze pracowały.

Oddalenie psów od siebie jest większem lub mniejszem, stosownie do tego, czy popisujące się psy są rasy szybko lub powoli szukających, jak Francuz je nazywa: „chiens de la petite, ou de la grande quête“, (po polsku powiedziałbym: psy wielkiego albo małego pola). Psy wypuszcza się znakiem ręki tak, by ich drogi w szukaniu ciągle się krzyżowały, a one mają pracować zupełnie się jeden drugim nie interesując.

Gdy jeden pies wystawi zwierzynę, drugi powinien zatrzymać się natychmiast, tak jakby sam wystawiał. To się nazywa we Francyi „l' arrêt à patron“. Zaniedbanie tego obowiązku uważa się za kapitalny błąd w tresurze, choćby nawet pies tamtego wyprzedziwszy, zwierzyny nie spłoszył lecz ją wystawił z kolei.

W chwili, kiedy pies zwierzynę wystawi, zbliża się jego pan do niego, mija go i zwierzynę do zerwania się, ewentualnie do pomknienia zmusza. Pies przez ten czas musi stać cicho, spokojnie, a w chwili zrywania się lub pomknienia zwierzyny musi natychmiast bez namysłu paść na ziemię i przywarować t. j. zrobić „down“ jak Anglik się wyraża. Tak samo, gdy sędziowie każą od czasu do czasu niespodzianie strzelać, muszą się psy natychmiast położyć i tak długo w tej pozycyi pozostawać, jak długo się im każe. Robienie bezwarunkowo „down“ na odgłos strzału lub wobec zrywającej się zwierzyny, jest kardynalnym obowiązkiem klasycznie tresowanego wyżła.

Kapitalnym błędem u psa legawego jest rzucanie się w pościg za zającem, nie mowiąc już o lotnej zwierzynie. Takiego psa w Anglii natychmiast się wyklucza z udziału w field-trialu, we Francyi zaś tylko wtedy, jeżeli droga odbyta w pościgu wynosi więcej jak 50 metrów i jeżeli pies przed tą metą na głos swego pana nie przywaruje.

Aportowania zwierzyny nie wymaga się we Francyi od psów wielkiego pola, w Anglii zaś jak wspomniałem, aportowanie zwierzyny nie wchodzi w zakres obowiązków wyżłów. Psy mające obowiązek aportowania w field-trial-s'ach, robią to tylko na rozkaz panów, przynosząc zwierzynę do nogi i siadając oddają do ręki.

Na tem popis się kończy, sędziowie podnoszą chorągiewkę w górę, a na tablicę wsuwają się kartki następnych współzawodników.

II.

Spaniel.

W produkcyi wyżłów Anglicy wyprzedzili o wiele cały kontynent. Ich pointer jest bezwarunkowo najlepszym i najpiękniejszym psem legawym na świecie. Jego zgrabna i muskularna budowa, jego szlachetne wejrzenie świadczy o jego niebieskiej krwi, inteligencyi i wytrzymałości. Pracując zawsze w galopie, w wielkiej nieraz odległości od myśliwego pointer jest w stanie przeszukać przez dzień kilkakrotnie większą przestrzeń jak każdy inny wyżeł. Zmysł powonienia u niego jest wprost fenomenalny, bo zwietrzyć na 500 kroków stado kuropatw zdarzało się już nie jednemu pointerowi. Dlatego też pointer ma tam pole do popisu, gdzie teren otwarty, rozległy i w zwierzynę nie bardzo obfity. Przeciwnie, w terenach krzaczystych, skalistych, nader obfitych w zwierzynę, pointer mija się z swojem powołaniem i myśliwym na zachodzie w takim razie służy rasa spanielów, z których najwięcej używane są cockery.

Spaniele myśliwskie dzielą się na dwie kategorye, z których każda znowu ma kilka odmian, co w niżej podanej tabeli uwidoczniam.

Kategorye	Odmiany	Kolor	Waga w funtach	Uwaga
A. **Field-spaniel** (polowy)	1. Cocker	biały, czarny lub bronz.	poniż. 25 f.	najwięcej używane i rozpowszechn.
	2. Black-spaniel	czarny	nad 25	na wystawach dla piękności odznaczane
	3. Sussex-spaniel	jednostajnie bronzowy	35—40	—
	4. Clumber	biały albo żółty	45—60	tylko w Anglii używany
B. **Water-spaniel** (wodny)	1. Angielski	czarny albo biały	70	rozpowszechniony w Anglii i Francyi
	2. Irlandzki	bronzowy	70	na kontynencie nieznany

Field-spaniel'e, jak twierdzą starofrancuscy autorowie dzieł cynegetycznych, pochodzą z Hiszpanii, co poświadczałaby ich dzisiejsza nazwa. W literaturze jednak myśliwskiej w Hiszpanii nie spotykamy o tych psach nigdzie nawet wzmianki, natomiast w Anglii i Francyi wspominają o nich autorowie dzieł myśliwskich od bardzo dawna. Francuz, Gaston Phöbus, żyjący w wieku XVI. w swojem słynnem dziele p. t. „Chiens d' oysel“ opisuje dokładnie dzisiejsze

spaniele pod nazwą „espainholz“ uważa je za bardzo wierne, wytrzymałe i w szukaniu zwierzyny ogromnie zacięte „rencontrant de tout oysel et de toutes bettes“.

Field-spaniele są to psy małe, na niskich nogach, kudłate, o dużych głowach, zwieszających się długich uszach, szlachetnem wejrzeniu, krępych tułowiach i krótkich grubych ogonach. W szukaniu bywają niezmordowane, i w terenach krzaczystych i skalistych oddają wielkie usługi. Field-



Czarny cocker.

spaniel szuka zawsze blisko myśliwego i w swojej pracy est niesłychanym pedantem. Nie zostawi on na swej drodze jednego krzaczka, by go nie obszukał. Polując z innymi psami w terenach krzaczystych lub wysokich trawach, jes się często narażonym na to, że pies znika, wystawia gdzie-zwierzynę, stoi do niej i półgodziny a myśliwy bezradny go szuka. Z field-spanielem ta przykrość się nie zdarza, gdyż ten, jak już wspomniałem, chodzi bardzo blisko my śliwego, a napotkawszy zwierzynę, do niej nie staje, ale w chwili, gdy się ma zrywać, szczeka zwykle raz tylko ale głośno i tem myśliwego do strzału przygotowuje. Można je jednak i wystawiania nauczyć. Wtedy spisują się one równie dobrze na błotach i ścierniach. Najulubieńszą i najwięcej rozpowszechnioną z tej rasy jest odmiana najmniejsza: cockerów.



Irisch-water-spaniel.

Wskazanem by bardzo było, żeby i u nas jaknajprędzej rozpowszechniły się cockery! Byłby to pies bardzo potrzebny, nie wyrugowałby zupełnie tak u nas ulubionych i słusznie cenionych pointerów, a byłby, że tak powiem, psem pomocniczym na naszych polowaniach letnich i jesiennych. Każdy wyobrazi sobie, co to za roskosz być musi polować z cockerem na kuropatwy, na zrębach lub w podszytym starym lesie na słonki!

Rasa spanielów wodnych (Water-spaniel) jest niedawną, powstałą z krzyżowania settera z pudlem, na kontynencie mało jeszcze rozpowszechnioną. Psy te nadają się nadzwyczajnie do polowań wodnych, są w stanie pływać całymi dniami, szukać niezmordowanie w trzcinach i szuwarach i doskonale aportują. Są one znacznie większe od field-spanielów i przypominają wyglądem pudla.

Dzielą się na: irlandzkie i angielskie. Podana rycina przedstawia irlandzkiego water-spaniela.

U nas, gdzie mamy tyle błot, stawów i jezior, rasa ta znalazłaby rozległe zastosowanie.

III.

Retriever.

Retrievery nie są już właściwie wyżłami. Piszę tu o nich dlatego, gdyż na zachodzie, a szczególnie w Anglii są one nieodstępnymi towarzyszami myśliwych, polujących z wyżłami. Są to psy powstałe z krzyżowania staroangielskich waterspanielów z neufundlerami. Są rosłe, ogromnie silne, zdolne z zającem w pysku przeskoczyć wielki rów i wysoki płot. Mają włos dłuższy, prosty albo kręcony. Jest ich trzy odmiany: 1. Retriever płaskowłosy czarny (the wavy coated black retr.), 2. Retriever kręcono włosy czarny



Retriever płaskowłosy czarny.

(the curly coate black. retr.), 3. Retriever płaskowłosy brunatny (retr. other than blacks).

Podaję powyżej rycinę przedstawiającą odmianę 1.

Retrievery używane bywają tylko do aportowania zwierzyny. Jak już mówiliśmy, w Anglii psom legawym aportować nie wolno. Anglik jest zdania, że pies umiejący aportować nie może być dobrym wyżłem, gdyż chęć porwania po każdym strzale zwierzyny w pysk bardzo go ekscytuje i do gonienia za nią zniewala. Zgodzić się z tem zdaniem trudno, ale przyznać trzeba, że jest wielką wygodą nieraz mieć dobrego retrieviera przy nodze. Można sobie wyobrazić, że pies od małego li tylko do aportowania tresowany, może się stać mistrzem w swojej sztuce. Major Hutchinson opowiada, że polował długo z cockerem, który z zazdrości nigdy nie chciał oddać zabitego ptaka retrieverowi. Sprawa ta w regule się kończyła tem, że retriever brał za kark cockera zawzięcie w pysku trzymającego ptaka, i przynosił go panu do nogi — tak czynił zadość swemu obowiązkowi. Retriever jest wtedy dobrym, jeżeli nie ma w sobie żadnej myśliwskiej passyi, w przeciwnym razie często się wyrywa, szuka i tylko przeszkadza. Piszą o retrieverach, które pełniły nieraz doskonale służbę wyżłów.

Obie odmiany retrieverów, jak wspomniałem używane są prawie wyłącznie tylko w Anglii.

O redukowanych Manlicherach.

Artykuł p. Alberta Mniszka, o broni małokalibrowej i prochu bezdymnym, pomieszczony w ostatnim zeszycie „Łowca“, wywarł na mnie ten skutek, którego się po nim szanowny autor spodziewał — „zbudził mnie rzeczywiście z letargu“, mówiąc słowami tegoż artykułu. — Pan Albert Mniszek zaczepił mego osobistego przyjaciela za jakiego od chwili poznania, uważałem zawsze redukowanego manlichera. Że sympatya między nami była obopólną, postaram się poniżej udowodnić faktami.

Niech mi wolno będzie w tem miejscu zaznaczyć, że z prawdziwą przykrością staję w przeciwnym p. Mniszowi obozie, czynię to nawet po dłuższym namyśle, gdyż najsympatyczniejszy nam wszystkim autor dzierży w naszym łowieckim koncercie stanowczo jedne z pierwszych skrzypiec i jako strzelec i jako myśliwy. A animozyę jego do redukowanego manlichera uważam nie jako rezultat własnych i długich badań, lecz poprostu jako wyraz osobistego zapatrywania i gustu. Pomijając kwestye balistyki, na której znam się tak prawie jak kura na pieprzu, zadowolę się traktowaniem całej tej sprawy tylko na empirycznej drodze.

Jest dziś przyjętym dogmatem i wszyscy mu wierzymy, że przy broni małokalibrowej o flaszkowym ładunku (mauser, manlicher, schönauer) została doprowadzoną razancya wyrzuconego pocisku do najdalej idących granic. — Ta niesłychana razancya wywołana dużym ładunkiem prochu i kształtem łuski nabojowej, pociąga za sobą potrzebę nadzwyczaj silnej konstrukcyi lufy i zamknięcia, jakie tylko przy jednolufowych karabinach da się osiągnąć. — Wszystkie bronie dwu lub więcej lufowe, które przy nabijaniu muszą opadać, nie przedstawiają tego bezpieczeństwa i tego oporu, wybuchowi flaszkowego ładunku, brak im także tej szczelności, jaką osiągamy przy zamknięciu karabinów. Po krótkim okresie nieszczęśliwych prób odstąpiono już teraz ogólnie od zastosowywania flaszkowego naboju do broni o lufach ruchomych, a ponieważ szerokie koła myśliwskie, domagały się koniecznie małych kalibrów dla kniejowego użytku, skontruowano dla tej broni, osobny model łuski nabojowej, bez flaszki, o przekroju lekko konicznym t. z. redukowany manlicher.

Nabój ten nabity dwoma gramami wojskowego austr. prochu bezdymnego i $^4/_5$ płaszczykową 8-mio milimetrową kulą, jest dziś powszechnie w użyciu i kto miał sposobność dłuższy czas używać takiej broni na kniejowych polowaniach, ten z pewnością czego innego szukać nie będzie. Zapewne że zmniejszona ilość prochu i zmieniony kształt łuski, wpływają na zmniejszenie siły wybuchu i razancyi dają jednak dostatecznie dane, ażeby najgrubsze nasze zwierzęta łowne, na każdą odległość powalić, nie narażając przy tem broni ani siebie na niebezpieczeństwo, jakie początkowo przy używaniu flaszkowych naboi, przy broni o lufach ruchomych się przydarzały. Kule całopłaszczowe, wystrzelone z takiego redukowanego manlichera, przebijają na wylot topole przeszło metrowej średnicy, sosny średnicy 60—80 cm., dęby powyżej 20 cali. Robiłem liczne doświadczenia w tym kierunku, a wobec wyniku muszę być zupełnie zadowolonym z razancyi manlichera redukowanego.

Przejdźmy teraz do praktycznego zastosowania tego ładunku w kniei. Zastrzegam się, że to nie rozprawa fizykalna, lecz czysto empiryczne notatki. Przyszedłem do przekonania, że najwięcej zabójczą kulą dla tego systemu jest kula o długim płaszczu a małym tępym końcu ołowianym, $^4/_5$ płaszcza $^1/_5$ ołowiu byłyby najwięcej wskazanemi. Pół płaszczykowe kule źle działają, kule z expanzą robią mi zawsze wrażenie dwu grzybów w barszczu.

Takimi kulami zabiłem kilkanaście jeleni i dużo dzików na odległości nieraz ogromne, bo dosięgające 300 kroków i w małej bardzo tylko ilości wypadków potrzebował zwierz drugiej kuli. A teraz o deformacyi i skutkach takiej kuli. Zauważyłem, że przy strzałach w łopatkę, na połeć wogóle w grube kości — kość prędzej przez kulę dosięgnięta, okazuje zwykle większe spustoszenie jak kość, przez którą kula w dalszym swoim biegu przechodzi. Pochodzi to stąd, że kula red. manlichera expanduje (deformuje) się bardzo łatwo, i już w zetknięciu z pierwszą silną przeszkodą traci zwykle cały swój koniec ołowiany, który rozpryskując się na drobniutkie drzazgi, czyni w około trafionego miejsca straszliwe spustoszenie. Pozbywszy się w ten sposób na pierwszej twardej przeszkodzie miękkich swoich części, pędzi dalej kula już tylko jako walec o stalowych ścianach i w później napotkanych przeszkodach robi otwór często tylko równy swemu przekrojowi. Ztąd zadziwienie, że czasem otwór wchodny kuli jest większym od wylotu.

Inaczej ma się rzecz przy strzale w miększe od łopatki części, n. p. w komorę. Tu kula nie napotykając tak gwałtownej przeszkody, jaką są grube kości, deformuje się normalnie, nie gubi ołowiu, lecz owszem ten ołów rozwija się w kształcie grzyba, rozdziera płaszcz w nim się znajdujący, słowem pocisk im głębiej grzęźnie, tem nabiera większej średnicy i w tym wypadku wylot kuli jest znacznie, znacznie większym od wchodowego otworu.

W jednym i drugim wypadku, skutek jest zawsze ogromny i zwierz najczęściej ruluje, lub też niedaleko uchodzi. Przy strzałach w miękkie bywa inaczej. Trzeba czasem kilku kul i dłuższego pościgu, ale pod tem względem i całe manlichery i całe expresy nie lepiej działają. Kule manlichera redukowanego, strzelone w komorę, najczęściej przechodzą zwierza na wylot i dają doskonałą farbę. Strzelone w łopatkę zwykle grzęzną po przeciwnej stronie pod skórą. U jeleni prawie zawsze, u dzików bardzo często. Można więc i tu zastosować kwestyę monogramową. Znakomita razancya manlichera redukowanego i zabójczość jego pocisku sprawiają, że używać go można równie wygodnie i skutecznie jako broń kniejową i na podchodnem lub podjeździe. Oprócz wspomnianych zalet redukowany manlicher robi bardzo nie wiele huku i broń w strzale nie trąca, co tylko dla strzelającego przyjemnem być może. Każda nowość, każdy nowy kierunek na jakiemkolwiekbądź polu, wywoływać musi zawsze polemikę, wskrzeszać przeciwników i zjednywać obrońców. Zdaje mi się, że p. Albertowi Mniszkowi chodziło głównie o wywołanie takiej wymiany zdań fachowych, która tylko dla sprawy łowiectwa naszego korzystną być może. Pamiętam, że gdy przed kilkunastu laty ukazały się w handlu pierwsze mausery i manlichery przystosowane do polowania, byłem jednym z pierwszych w kraju, którzy odrazu zalety tej broni pojęli i w zastosowanie je wprowadzili. Pamiętam również jak wówczas trzech najwybitniejszych naszych myśliwych rzuciło anathemana na manlichery i mausery i na mnie jako pioniera nowego kierunku. Dzięki Bogu doczekałem się tej chwili, w której wszyscy ci trzej Nimrodzi sprawili sobie broń małokalibrową i dotąd jej używają z najlepszym skutkiem w łowach na grubego zwierza.

Dziś wywołuje redukowany manlicher taki sam rozdział zdań i zapatrywań, z którego tylko sprawa skorzy-

stać może, gdyż prawda wypływa sama na wierzch jak oliwa. Co do mnie, nie lękam się wcale o los redukowanego manlichera i taki, jaki jest obecnie, długo ma jeszcze zapewnioną przyszłość. Kto nie wierzy, niech weźmie sam do ręki i sprobuje przez czas dłuższy, a o skutkach niech wnioskuje z dłuższej praktyki, nie z izolowanych przypadków.

Aleksander Przedrzymirski.

W sprawie broni małokalibrowej.

Moje skromne doświadczenia w zupełności potwierdzają zdanie, że wogóle zredukowane co do ilości prochu małokalibrowe ładunki, o ile rozchodzi się o najgrubszą zwierzynę, nie odpowiadają dostatecznie celowi. Natomiast uważam je za bardzo racyonalne przy broniach mających za główny cel zwierzynę tej wytrzymałości jak sarna. Ładunki te bowiem, mimo zmniejszonej ilości prochu, operując jednak t. zw. „bezdymnym" i kulami o znakomitem płaszczowem prowadzeniu w gwintach, mających nadto z natury swej budowy znacznie większą wytrwałość lotu, jak wszelkie pociski expressowe, łączą dostateczny efekt niszczący z lepszym o wiele rezultatem balistycznym od wszelkich expressów.

Z tej więc przyczyny, nie jestem zdania, by zastosowanie takich ładunków do drylingów, jako do broni nie specyalnej, zatem przez myśliwych o dostatecznych środkach tylko wyjątkowo używanych przy polowaniach na grubą zwierzynę. było błędne. Uważam dryling zwyczajnego składu, t. j. o dwóch lufach śrótowych, a jednej kulowej, choćby i przy zastosowaniu „choke rifled" wiercenia w pierwszych, zawsze jako broń przeważnie śrótową, zatem normalnie używaną na zwierzynę nie grubszą jak sarna. W tem pojęciu kula w drylingu jest potrzebną jako strzał doskonalszy technicznie, pewniejszy na większą odległość i stąd większą dający satysfakcyę, nie zaś specyalnie dla grubej zwierzyny. Jeżeli, mając dryling w ręku, stoi się niespodzianie w obec perspektywy dzika, jest na to okrągła kula lub gruby śrót, by na bliskie dystanse nie być źle uzbrojonym.

W powyższym artykule spotkałem się dalej w ustępie o małokalibrowych sztucerach, ze zdaniem, że mniejsza o formę kuli, gdyż każda kula jest śmiertelną.

Otóż moje doświadczenia, każą mi inaczej twierdzić. Naturalnie, że głównym warunkiem jest chyżość kuli, lecz twierdzę stanowczo, że o ile się rozchodzi o zabójczość jej działania z góry jej daną, bardzo ważną okolicznością jest także kształt części jej, którą uderza. Sama chyżość nie wystarcza i decyduje o śmiertelności kuli. Wiemy przecie, że im ostrzejszy strzał w szybę, tem równiejszy otwór od pocisku i mniej pęknięć na około; zatem w zwierzynie tem mniejsze spustoszenie, tem mniejszy krwotok i t. d. Efekt na centrach nerwowych zwierzyny, wzrasta wprawdzie w miarę szybszego i stąd energiczniejszego uderzenia pocisku, lecz przynajmniej równie zależnym jest, (przy zresztą zależnych okolicznościach), od wielkości przestrzeni niszczonej pociskiem.

Stąd jasne, że kula ze ściętym stożkiem jest efektowniejszą, jak ze stożkowym końcem, nie mówiąc już o kuli expanzywnej.

Przechodzę teraz do twierdzenia we wspomnianym artykule o kulach expanzywnych jako w małokalibrowej broni, bez żadnego specyalnego znaczenia.

Doświadczenia moje z expressami, manlicherami i schönauerami dały przeciwny rezultat. Im kula jest mniejszego kalibru, tem więcej znaczenia, przy zresztą równych warunkach, nabiera expanzya; ona w chwili działania do potęgi, powiększa małą przestrzeń, którą pocisk wdziera się i niszczy nerwy i naczynie krwionośne. Nie dość na tem, wchodzą tu jeszcze inne czynniki w grę; ponieważ im mniejszy kaliber, tem normalnie kula większą ma chyżość, zatem tem więcej zgęszcza powietrze w swem zagłębieniu frontowem, (naturalnie uważam zatykanie otworu kuli mającej expandować na myśliwską odległość, za nonsens), i tem gwałtowniej każe temu gazowi rozsadzać swe ściany i niszczyć ciało, im energiczniej w nie uderza. Efekt expanzyi jest zatem wprost zależnym od szybkości kuli przy zresztą równych warunkach, a przy ładunku schönauerowskim robi z tego powodu wrażenie explozyi nie expanzyi.

I znowu wbrew powyższemu artykułowi twierdzę, że wykluczonem jest (przy dostatecznej chyżości), by kula nie expandowała. Przeciwnie, kula n. p. schönauera, expandując, całą swą przednią część rozsadza na drobne drzazgi, a przenosząc na nie odpowiednie do masy swą energię i wypadkowy ze swej linii lotu i promieni explozyi kierunek, wierci niemi całą okolicę działania. Twierdzenie to opieram na badaniach wnętrzności prawie każdej ubitej z schönauera zwierzyny, i mam przechowane drzazgi przedniej części kuli znajdywane w poszarpanych częściach lub trzewiach.

Twierdzą dalej, a raczej prawidła fizyki tak mówią wbrew cytowanemu artykułowi, że expanzywny pocisk im ma szybszy lot, tem jest czulszym, to znaczy prędzej expanduje, gdyż powietrze gwałtowniej ściśnięte prędzej go musi otworzyć. Stąd pochodzi, że wbrew powyższemu artykułowi, kilka kozłów w roku minionym na połeć strzelanych przezemnie z schönauera, ani jeden pocisk nie przebił, expandując w ich wnętrzu; nie dość na tem zastrzeliłem także kilkadziesiąt psów w polu takąż ekspanzywną kulą i w każdym większym psie kula ginęła bez śladu wylotu, natomiast z piorunująco zabójczym efektem expanzyi.

Nie podzielam również zdania jakoby kula wojskowa zatem cała w płaszczu, miażdżyła wszystko w okolicy swej linii przejścia przez organizm zwierzęcy, z przyczyny bliskiego strzału, i stąd ogromnej chyżości.

Podług moich spostrzeżeń kula taka przy równej chyżości, zachowuje się rozmaicie w ciele, albo niszczy je naokoło, lub tylko przerywa; lecz miarę daje tu okoliczność, czy trafia li tylko na mięśnie, czy także na kości w ciele. W pierwszym razie pocisk przeszywa jak strzała, w drugim udziela częściowo chyżości swej napotkanym cząstkom kości, i te rozszerzają dalsze spustoszenie. Obserwując efekt strzału znajdziemy w tym razie, zwłaszcza przy grubszej zwierzynie kawałki roztrzaskanej kości na ziemi, nieraz w odległości kilku metrów od miejsca wylotu kuli z ciała.

Nikt chyba nie przypuści, że te twarde, niezdrowe i ostrokanciaste odłamy, będąc raz porwane pędem kuli, zachowają się delikatnie i wypadną starannie jej wylotowym otworkiem, o nic nie zawadzając i nic nie szarpiąc. — Powyższe twierdzenie udowadnia także i ta okoliczność, że drobne ustroje, zatem takie, które grubszej kości nie mają, nie ulegają od omawianego pocisku takiemu zni-

szczeniu jak wielkie. Strzelałem dzikie gołębie po drzewach manlicherowską wojskową kulą, właśnie dlatego, że prawie zawsze były prawie nieuszkodzone i zdatne do kuchni. Ponieważ to są strzały z natury rzeczy niedalekie w bezwzględnem pojęciu odległości, zatem w myśl twierdzenia artykułu owego przy utrzymanej pełnej chyżości kuli, powinno było chyba pierze tylko zostać, o ile by kula w nich tak niszcząco działała, jak działa przy tej samej chyżości w wielkich organizmach, gdy natrafi na kości. —

Kończąc, chciałbym jeszcze naderwać trochę listków ze sławy schönauera, tak w naszym *„Łowcu“* niepokalanej. Mam nieco odmienne zapatrywanie o jego wartości.

O ile rozchodzi się o mechanizm repetowania, dobroć maszynowego wykończenia i chyżość lotu kuli, w końcu o tak zwaną „składność“ broni, uznaję ogromne zalety tego systemu. Jednakże po całorocznej próbie, paru takich sztucerów, wyzbyłem się ich, nabrawszy przekonania, może zupełnie subjektywnego, że dobrze odrobione 8-mio mil. manlicherowskie sztucerki są lepszą bronią myśliwską.

Główne zarzuty jakie robią schönauerom są:

1) wskutek, zdaje się, zbyt krótkiej linii do mierzenia (vizury), strzał jest na nerwowość strzelającego tak wrażliwy, że przypomina w tym kierunku pistolety.

Stąd pochodzi, że wogóle w strzałach rzucanych, których celność zależy przeważnie od dobrego „leżenia“ strzelby, miałem stosunkowo pewniejsze wyniki, jak w strzałach wolno mierzonych do stojącego celu.

2) Na siedem dzików strzelanych w roku minionym z schönauera, żadnego nie znalazłem na miejscu strzału; i tak n. p. jedną z tych 7-miu sztuk był 3-letni wycinek, który z odległości 40—80 kroków dostał na połeć trzy expanzywne kule w komorę i dopiero po ubiegnięciu najmniej stu kroków upadł, mimo, że kule expandowały we wnętrzu w ten sposób, iż strzępów płuc nie można było od skrzepłej farby odróżnić. Jednemu znowu warchlakowi kula expandowała w kiszkach i włóczył je poszarpane za sobą, a nie tylko, że po strzale nie przypadł nawet do ziemi, ale dopiero go na drugi dzień o parę kilometrów odległości w górach dobito.

Z tąd wnioskuję, że o ile dobrze wsadzona kula schönauerowska, nawet expanzywna, wcale nie jest pociskiem zbyt niszczącym sarnę, o tyle jest daleką od ideału pocisku na zwierzynę o tak, że się wyrażę, ordynarnych nerwach, jak dzik, gdzie cała teorya z piorunującym „choc'iem“ nerwowym, robi fiasko. Nawiasowo zauważam, że żadna ze strzelonych jak wyżej 7-miu sztuk nie dostała kuli w głowę; wtedy bowiem wierzę w „choc“, ale przypuszczam, że taki sam byłby n. p. od kuli rewolwerowej w mózgu.

3) ostatni zarzut czynię schönauerowi z jego zamknięcia, które nawet przy modelu 1903, jest zbyt łatwem do przypadkowego poderwania, a najmniejsze niedomknięcie powoduje wprawdzie nie explozyę broni, ale zawiedzenie strzału.

Lwów, 18. stycznia 1904.

Dr. W. B.



Sprawa ustawy łowieckiej w Sejmie zeszłorocznym.

(Ciąg dalszy.)

Poseł Huryk (po rusku).

Nie wiem, czy jest gdzie w naszem państwie, albo i poza granicami naszego państwa jaki kraj, gdzieby ciało ustawodawcze tak mało brało w obronę włościaństwo, jak nasz parlament. Świadectwem tego nasza ustawa łowiecka.

Już poprzedni mówca wykazał, że żal w całym kraju nie ustaje, a dowodem tego, że nie ma zgromadzenia ani wiecu, na którychby włościanin nie domagał się zniesienia tej ustawy.

Ale ten głos włościański, to groch o ścianę, Wysoki Sejm nie chce tego słyszeć a komisya administracyjna, do której wnioski w tej sprawie odesłano, jak zwykle pogrzebała te wnioski, a jeżeli nie pogrzebała, to przychodzi z wnioskiem już przy końcu posiedzenia. tak, by temu lichu nie można końca położyć.

Mnie się zdaje, że już była sposobność przypatrzeniu się własnemi oczyma krzywdzie, którą zwierzyna wyrządza naszemu włościaństwu.

Włościanin nasz musi od początku wiosny do końca jesieni stać na straży swego kawałka gruntu, aby go zwierzyna nie zniszczyła.

Moi Panowie! Niniejsza ustawa odsyła włościanina z odszkodowaniem do starostwa, a starostwo przybiera rzeczoznawców dla ocenienia tej szkody.

Wedle tej ustawy właściciel polowania umawia się z poszkodowanym i daje mu jakieś odszkodowanie za swawolę, którą mu zrządzono.

Jeżeli się poszkodowany nie zgodzi, przyjeżdża komisya i taksuje, a jeżeli ona nie przyzna odszkodowania, to włościanin musi jeszcze koszta płacić. To jest tak swawolne, że tego absolutnie strawić nie można.

Że ustawa ta jest zła, dowodem tego, że nietylko ruscy posłowie przeciw niej występowali, ale i posłowie z zachodniej Galicyi wyszli ze sejmu przy specyalnej debacie, aby nie być uczestnikami tej krzywdzącej ustawy.

Już półtora roku, jak wniosek p. Żardeckiego odesłano do komisyi administracyjnej i po półtora roku przychodzi komisya do Wysokiego Sejmu z wnioskiem, który zupełnie nie bierze w obronę włościanina, upadającego już pod ciężarem różnego rodzaju.

Komisya zaznacza w sprawozdaniu, że z dzierżawy prawa polowania jest zysk 24.000 koron. Ale gdyby komisya zebrała te wszystkie krzywdy, które ustawa łowiecka wyrządza włościanom, toby szkoda ta wynosiła nie 24.000, ale 240.000 złr. co najmniej. Moi Panowie! Chociażby człowiek był jak najtwardszego serca, a jeźliby widział, że drugi upada pod ciężarem obowiązków, to chociażby ten drugi był nawet jego wrogiem, zmiękłoby przecież jego serce i ulżyłoby z tego ciężaru. Moi Panowie, dlaczego my mamy oddawać nasze grunta na zabawkę dla panów, dla starostów, dla dziedzica, dla pisarza, albo Bóg wie dla kogo, aby oni mogli wyprawiać orgie na naszych gruntach.

Jak będziecie dalej tak postępować, to włościanin dłużej nie wytrzyma, a może na jego miejsce przyjdzie drugi, który nie pozwoli sobie niszczyć gruntu. Nasz włościanin w niczem nie przewinił, by musiał wartować niemal cały rok na swym kawałeczku gruntu, bo jeźliby nie wartował jedną noc, zwierzyna zniszczy mu wszystko.

Nasz włościanin i tak ponosi wielkie ciężary, płaci on wszystkie podatki państwowe, krajowe i inne, po cóż więc i w tym kierunku go krzywdzić?

Skarzycie się Panowie na klęski elementarne, jak grad albo myszy, nasz włościanin ma te klęski elementarne co rok, jemu co rok zwierzyna robi szkodę, którego mu żadne starostwo nie odszkoduje.

Niech mi Panowie pokażą fakt, z którego pierwszego lepszego powiatu, gdzie rzeczywiście szkoda przez zwierzynę zrobiona byłaby sprawiedliwie odszkodowana. Tego nigdzie nie ma, przeciwnie, w każdym powiecie, w każdej gminie w stronach podleśnych, włościanie narzekają na szkody. Jeżeli komisya wzywa Wydział krajowy, by raz jeszcze zbadał ustawę łowiecką, to ja zwracam się do członków Wydziału krajowego z prośbą, by Wydział krajowy raczył gruntownie i należycie zastanowić się nad krzywdą ludu włościańskiego i krzywdę tę jak najrychlej usunąć. Prosiłbym także, by Wydział krajowy nie zwlekał z załatwieniem tej sprawy, bo krzywda włościan jest wielka; nie powinna dłużej trwać.

Kończę, zwracając się z prośbą do Wydziału krajowego, by ustawę łowiecką jak najrychlej zbadał i by na najbliższej sesyi sejmowej przyszedł z projektem zmiany tej ustawy. C. d. n.

Korespondencye.

Makuniów, w styczniu 1904.

Niewymownie ciężko i boleśnie przychodzi mi dzisiaj wziąć za pióro, by spełnić obowiązek delegata i zdać sprawozdanie z ślicznego a tak tragicznie zakończonego polowania w Lipnikach, w dniu 5. stycznia. Po ostatnim miocie w kniei, gospodarz nasz, mimo późnej godziny i przenikliwego zimna postanowił wziąć jeszcze jeden miot polowy. Według relacyi naocznego świadka, fornala, który go wiózł, kazał zatrzymać sanie przy swojem ostatniem stanowisku. Nim fornal zdołał zatrzymać konie, a więc gdy sanie były jeszcze w ruchu, żywy i zawsze prędki gospodarz nasz zeskoczył na ziemię i tak nieszczęśliwie pociągnął za sobą strzelbę, że ta wypaliła, kładąc go trupem na miejscu. O uczuciu zgrozy i przerażenia, jakie nami na wieść i widok tego, co się stało, owładnęło, pisać chyba nie potrzebuję, jak również nie potrafię piórem mojem określić tych wrażeń, pod któremi późnym wieczorem zajeżdżaliśmy z zwłokami gospodarza pod rzęsiście oświetlony i niecierpliwie oczekujący swych gości, dwór lipnicki......

W zmarłym tak tragicznie śp. Stefanie Irsayu, straciliśmy dobrego, kochanego sąsiada, wybornego kolegę myśliwego, znakomitego hodowcę zwierzyny. Jakim on zresztą był człowiekiem i obywatelem, do mnie tu pisać nie należy. Kto brał udział w jego pogrzebie, ten mógł się przekonać o uczuciach pozostałej rodziny, sąsiadów i ludu wiejskiego, jakie się tam dla niego dobitnie zamanifestowały.

Mimowoli ciśnie się jeszcze pod wrażeniem tego smutnego wypadku na usta słów kilka, słów gorącej przestrogi dla wszystkich a szczególnie dla młodych, początkujących myśliwych! Niech powyższy opis tego strasznego nieszczęścia będzie szklanką zimnej wody dla tych, którzy nieraz w ferworze myśliwskim lekceważą sobie życie drugich i swoje! Kto ma w ręku broń, ten niech pamięta, że dzierży straszne narzędzie śmierci i najmniejsza z niem nieostrożność może spowodować nieszczęście, które, gdy się raz stanie, nie da się już niczem ani odwrócić, ani nawet zmniejszyć! Obowiązek wyjmowania naboi z luf, bez względu na sposób dostawania się i odległość do następnego stanowiska, jak i bez względu na rodzaj i system broni, powinien być podstawą myśliwskiej etyki i świętem przykazaniem, o którem myśliwemu nawet na chwilę zapomnieć nie wolno. Tak samo jest obowiązkiem sumienia myśliwego, przeciw każdej, najmniejszej nieostrożności towarzysza jak najenergiczniej zaprotestować. Czyn taki będzie wielkiem dobrodziejstwem dla ogółu, a jeszcze nierównie większem dla tego, kto na to skarcenie zasłużył, bo straszną jest rzeczą przez swoją, lub cudzą nieostrożność być zabitym, ale stokroć straszniejszą jest zabić kogoś!

W końcu, by uczynić zadość memu obowiązkowi, podaję rezultat polowania: w 12 strzelb, w 9 miotach zabito rogaczy 5, lisów 9 i 44 zające. Śp. gospodarz zabił rogacza, lisa i 4 zające.

Dnia 19. stycznia b. r. wieczorem zjechało się nas wesołe i dobrze znajome kółko u pana Artura Cieleckiego w Porchowie na dwudniowe polowanie. Usposobienia nasze były pełne dobrego humoru, złożyły się na to: serdeczność gospodarza, widok drzemiącej w pobliżu prześlicznej i pełnej dla nas nadziei kniei, jak i piękna pogoda, która według naszych horoskopów i barometru obiecywała przez oba dnie łowów wytrzymać!

Niestety! Nikt z nas nie przeczuwał, że wśród tego naszego wesołego grona gości i smutny anioł śmierci!

Zaraz nazajutrz po pierwszym miocie, na rękach swego brata i naszych zmarł na anewryzm serca hr. Stanisław Zborowski. Zgasł człowiek młody i pozornie zdrów, tak, jak gaśnie jasno świecąca się lampa pod nagłym podmuchem wichru. Kochany przez rodzinę i przyjaciół, ceniony w towarzystwie dla osobistych przymiotów, doskonały myśliwy, znawca sztuki i pilny zbieracz jej dzieł, zmarł ku głębokiemu żalowi nietylko mu blizkich, ale wszystkich, którzy go kiedykolwiek w życiu spotykali — umiał on bowiem odrazu ujmować sobie ludzi.

Gospodarz naturalnie polowania natychmiast zaniechał, co było zresztą i naszem jednogłośnem życzeniem, a po odbytej nazajutrz mszy św. w miejscowej kaplicy za duszę zmarłego, rozjeżdżaliśmy się smutni i w rozmyślaniu, jak niepewną instytucyą jest to życie ludzkie i jak niezbadane wyroki Opatrzności!

Ja zaś modlę się do św. Huberta, by mnie chronił od podobnych wypadków i raczył mi oszczędzić już raz na zawsze tej prawdziwie monstrualnej kombinacyi wplatania nekrologów w sprawozdanla z polowań.

Albert Mniszek
delegat mościski.

Lwów, dnia 2. lutego 1904.

Po zeszłorocznym sezonie łowieckim brała mnie kilkakrotnie ochota podzielenia się za pośrednictwem „*Łowca*“ z szerszem kołem towarzyszy z pod znaku św. Huberta mojemi zdobyczami myśliwskiemi w tym sezonie, lecz zawsze znane przysłowie łacińskie o chwaleniu się i zapachu wstrzymywało mnie od tego.

Obecnie chcąc w łamach naszego pisma wspomnieć o ślicznem polowaniu, o którem poniżej będzie mowa, korzystam z tej sposobności, by wspomnieć i o moim sezonie łowieckim 1902|1903.

Sezon ten pozostanie dla mnie na zawsze pamiętnym, w nim bowiem widziałem po raz pierwszy w życiu i strzelałem jelenie; a co to znaczy, rozumieją ci, którym było już danem zażyć tej największej u nas rozkoszy myśliwskiej, a pojmą w przyszłości i ci, którzy w tem szczęśliwem położeniu dopiero się znajdą, czego im z całego serca i jak najrychlej życzę.

W sezonie 1902|1903 zapisałem 4 jelenie, 7 dzików, 15 kozłów, 13 lisów i 121 zajęcy, a zatem rozkład bardzo pokaźny, jak na mola biurowego, któremu pióro chlebem, a strzelba tylko przyjaciółką i osłodą chwil czasem ciężkich.

Z tego pamiętnego sezonu najpamiętniejszym dla mnie pozostanie dzień 30. grudnia, w którym to dniu w uroczej kniei spaskiej wysypało się na mnie 8 jeleni byków, a to dwunastak jako pierwszy, a w chwilę po nim stadko z siedmiu byków. Pierwszy dwunastak zginął na miejscu trafiony kulą skośnie pod łopatkę, a ze stadka padł również na miejscu trafiony w komorę pierwszy czternastak, ostatniego zaś z szeregu pieknego szesnastaka chybiłem gładką kulą.

Wprawdzie jeden z najpoważniejszych w kraju myśliwych i powszechnie znany i lubiany towarzysz, z którym mam szczęście często w poważnych kniejach polować, żartuje ze mnie twierdząc, że powinienem był wówczas zabić przynajmniej 7 jeleni, lecz wolne żarty, zacny i kochany Towarzyszu w św. Hubercie.

Gdybym miał Twoją tak znaną i cenioną rutynę myśliwską, Twoje silne nerwy, nie stargane zajęciem zawodowym jak moje, a w ręku conajmniej Schönauera (ale bez lunety), to możeby się tam więcej było uszczknęło z tego stadka jak dwa byki.

Pocieszam się jednak, że na przyszłość będzie może inaczej, gdy znowu kiedyś... 8 byków wysypie się na mnie... Nadzieja przecież jest jedyną pocieszycielką w życiu.

Pogrążywszy się we wspomnieniach tego niezatartego w pamięci sezonu, odbiegłem może za daleko od właściwego przedmiotu mej obecnej korespondencyi do „*Łowca*“ — przepraszam więc za ten wstęp przydługi i przystępuję do rzeczy.

Dzięki życzliwości poważnych myśliwych i hodowców w kraju, a w pierwszym rzędzie zawsze dla mnie łaskawego i kochanego przyjaciela i towarzysza pana Wł. Ba., poluję od lat kilku w bardzo pięknych kniejach i dość często na grubszą zwierzynę.

Zepsuło to mnie trochę i wzbudza często pragnienia, które nie zawsze i nie wszędzie urzeczywistnić się dają.

Jednem z takich pragnień, zda się niedoścignionych, była trawiąca mnie od lat kilku ochota zapolowania w sławnej z ilości dzików i wzorowego prowadzenia polowania kniei myszkowieckiej.

Można więc wyobrazić sobie łatwo moją radość, gdy w tym sezonie zaprosił mnie p. Maryan Kęplicz na polowanie do Myszkowa na 15. i 16. stycznia.

Mimo więc wielkiego braku wolnego czasu i silnego przeziębienia na poprzedniem polowaniu w Spasie, podążyłem na to miłe wezwanie do Myszkowa, pełen oczekiwania i nadziei, powtarzając sobie ciągle: „trzymaj się, wolisz nie mieć spotkania, jak skompromitować się chybnym lub lichym strzałem itd.“

Sposobność do rozmyślań na ten temat dały mi nasze poczciwe koleje podolskie, które wlokąc się żółwim krokiem, jak to mówią cztery kroki naprzód a dwa wstecz, są jakby stworzone do jazdy na polowanie, gdyż jadąc tam zabija się czas myślami, co to będzie, a z powrotem rozpamiętywaniem, jak to było.

Myszków przeszedł moje najdalej idące oczekiwania i usprawiedliwił aż nadto swą ustaloną sławę.

Stan zwierzyny przepiękny, na każdym kroku widoczna miła dla oka myśliwego pieczołowitość gospodarza hodowcy, sposób i porządek prowadzenia polowania wzorowy, a nadto tradycyjna, miła i niewymuszona gościnność w myszkowieckim dworze, w prawdziwy zachwyt mnie wprawiły.

Ponieważ zaś na świecie nie ma nic bez „ale“, więc i tu było „ale“, gdyż aura zupełnie nie dopisała.

Po poprzednich bardzo silnych mrozach, mieliśmy w Myszkowie zupełną odwilż, urozmaicaną w pierwszym dniu od czasu do czasu ciepłym deszczykiem, wobec czego zwierzyna niechętnie z legowisk ruszała, a ruszywszy wolała obrać kierunek na nagonkę, niż na chciwą strzału drużynę myśliwską.

Z końcem drugiego dnia polowania naliczyłem na rozkładzie 9 dzików, 6 rogaczy, 6 lisów, 50 kilka zajęcy, a mogło być ich mimo odwilży znacznie więcej, gdyby w dniu pierwszym, w pierwszych 4 miotach nie był zapowiedziany pierwszy strzał do dzika, i gdyby...... do dzików lepiej strzelano.

Nie wiem na pewne, ale zdaje mi się, że ogółem chybiono coś po nad 10 dzików, które były widocznie otoczone jakąś wyższą opieką, gdyż nawet myśliwi, mający ustaloną sławę w celności swych strzałów, tym razem w Myszkowie nie dość gładko strzelali.

Ja miałem na sumieniu dzika, 2 kozły i 9 zajęcy, chybiłem zaś 2 zające i rogacza, tego co prawda nawet bardzo brzydko.

W ten sposób marzenia moje, snute na podolskich torach w rzeczywistości prawie się spełniły, obecnie zaś wspomnienia tych chwil tak miłych i niezapomnianych budzą w sercu szczerą wdzięczność dla szanownego gospodarza za łaskawe zaproszenie do Myszkowa i ukryte w głębi duszy pragnienie, by, da Bóg doczekać w przyszłym sezonie myśliwskim, znowu zechciał sobie i o mnie przypomnieć.

Tadeusz Klusik-Orzechowski.

Porchowa 20. stycznia 1904.

W pociągu odjeżdzającym ze Stanisławowa do Buczacza wielki brak miejsca i ścisk, podróżni przeważnie w strojach myśliwskich przybywają z rozmaitych stron, zajmują wszystkie przedziały, a kuferkami, strzelbami i futrami korytarze są zupełnie zabarykadowane. Nikt jednak nieuskarza się na brak miejsca, jakkolwiek więcej osób jest w przedziałach aniżeli przepis kolejowy to wyznacza, gdyż wszyscy chcieliby być razem. Rozmowa rozpoczęła się ożywiona, pokazywanie strzelb i cały wykład starszego myśliwego o robieniu ładunków, przy tem i udatne anegdotki bywają naprzemian wygłaszane i przerywane ogólnem homerycznem śmiechem.

Humory więc i usposobienie jak najlepsze, gdyż wszyscy dążą na prawdziwą biesiadę myśliwską do znanej kniei nad Dniestr, na kilkodniowe łowy do pana Artura Cieleckiego do Porchowy. Cały szereg sanek wiezie gości ze stacyi kolejowej do dworu, gdzie nie tylko gospodarz z całym dworem, ale i cała wieś z radośnemi minami wita przyjeżdżających, jakby brała udział w corocznych weso-

łych wyprawach myśliwskich. Na drugi dzień rano losujemy kartki, na których są stanowiska oznaczone. W najlepszem usposobieniu wyjeżdżamy do lasu. Ja schodzę na dalsze stanowisko, bo nam numer 13-ty (więc według przesądu mnie powinno się było coś złego przydarzyć).

Wśród brania miotu słychać tylko dwa strzały, skutkiem których padł jeden lis i rogacz. Po skończonym miocie wszyscy schodzimy się na brzeg lasu, przychodzi też hr. Stanisław Zborowski uskarzając się, że mu się słabo zrobiło i objawia zamiar powrotu z lasu do domu. Zaledwie na to mogliśmy zwrócić uwagę, gdy tenże jakby z uśmiechem na ustach parę kroków podchodzi i pada wśród nas na ziemię. Sądząc, że tylko zemdlał, staramy się wraz z obecnym jego bratem przeprowadzić go wszelkiemi sposobami do życia. Chwilę jednak złudzenia i niepewności, a wraz z nimi nadzieji, odratowania trwają krótko. Po kilku zaledwie westchnieniach staje się widocznem ku naszemu przerażeniu i żalowi, że towarzysz nasz opuścił nas na zawsze.

Można sobie wyobrazić jakie uczucie ogarnęło drużynę myśliwską a w szczególności gospodarza, który chciałby każdego z swych gości widzieć u siebie najzdrowszym i najszczęśliwszym. W takim wypadku trudno szczególnie z początku zgodzić się z myślą i przyzwyczaić z nieubłaganą rzeczywistością. Mimowolnie zdaje się, że to niemożebne, aby ten który przed chwilą z nami obcował, rozmawiał, brał udział we wspólnej wyprawie, człowiek młody i w pełnem zdrowiu nagle zerwał wszelką nić łączącą go z otoczeniem i nigdy już nie dał żadnego znaku od siebie.

Stanisław Zborowski umierając pozostawił tem większy żal za sobą, że był to człowiek o szlachetnym charakterze i duszy artystycznej przez wszystkich dla swych zalet szczerze ceniony i lubiany, którzy tylko mieli sposobność go poznać. Niestety przedwczesna śmierć wyrwała go rodzinie i społeczeństwu.

I. C.

Lwów 23. stycznia 1904.

Słusznie zauważył w swem przemówieniu znany z wymowy senior myśliwych hr. St. D., że rozmaite bywają trzydniówki n. p. trzydniówka słoty bywa nie bardzo przyjemną, trzydniowe polowanie w złą pogodę z brakiem zwierzyny i przy złem prowadzeniu bardzo jest smutnem użyciem, ale trzydniowe polowanie w Jabłonowie, gdzie wszystkie te trzy warunki nie tylko nie zawiodły, ale tak świetnie dopisały, stały się prawdziwą rozkoszą dla szczęśliwych nemrodów, którzy w tym trzydniowem polowaniu mogli wziąć udział. 397 sztuk leżało na rozkładzie a mianowicie: 4 dziki, 22 lisy, 60 rogaczy, 310 zajęcy.

Małą ilość zabitych dzików, jak na tę knieję jest się przyzwyczajonym, że zwykle pada, trzeba tem wytłómaczyć, że kilka razy dziki wróciły na nagonkę i również, gospodarz w swej uprzejmości, obawiając się, aby dziki nie zrobiły zawodu a polowanie było przez większą ilość strzałów więcej ożywione, pozwolił od początku do wszystkiego strzelać.

Dwa dziki w ostatnim dniu mocno postrzelono i pomimo, że bardzo farbowały nie podniesiono ich podczas trwania polowania,

I. C.

W Sapohowie, majątku posła nadzwycz. i upełnomocn. ministra hr. Tadeusza Bolesta Koziebrodzkiego odbyło się 11., 12. i 13. stycznia 1904 polowanie w 11 strzelb.

Pierwsze dwa dni w kniei, trzeciego w ściankach i remizie polnej, przy 16 stopniach mrozu i po większej części dotkliwym ostrym wietrze. Tej ostatniej okoliczności też głównie przypisać należy, że nie tak dobrze strzelano, jak można było słusznie się spodziewać. Rozkład dzików szczególnie nie dopisał. Pierwszego dnia 27 sztuk przed samą linią myśliwych zawróciło, uderzywszy na flankę w miejscu nieobsadzonem, drugiego dnia przedpołudniem podobnie rudel z 18 dzików uczynił, trzech myśliwych strzelało, jednak padł tylko warchlak a dwie grubsze sztuki mimo silnej farby przeszły w obcy rewir.

Tego samego dnia popołudniu wyszły jeszcze trzy grube sztuki, tym razem na linię myśliwych i były strzelane, ale niestety bez skutku.

Z innej zwierzyny padło: dziewięć rogaczy i 338 zajęcy, a z puszczonych w zeszłym roku kilkunastu bażantów, 1 kogut. Na życzenie właściciela, ilości padłych strzałów nie podaję.

J. Wasylenki.

Na podstawie §. 19. u. p. żądamy odnośnie do korespondencyi pod datą: Wysuczka 30. grudnia 1903 umieszczonej w numerze 2 Łowca, umieszczenia następującego sprostowania:

Nieprawdą jest, jakobyśmy urządzali polowania w naszej kniei nie na swoją zwierzynę i jakoby tej zwierzyny dostarczały nam sąsiednie rewiry; również nieprawdą jest jakobyśmy dla rozmnoży i karmienia tej zwierzyny nic nie czynili.

Przeciwnie prawdą jest, że knieja nasza jest przez przeciąg całego roku nadzwyczaj pilnie strzeżoną, kłusownictwo na naszych terenach polowania zupełnie wytępione, karma w miesiącach zimowych zwierzynie trwale i dostatnio dostarczana.

Również nieprawdą jest, że las nasz jest pepinierą lisów, srok, jastrzębi i t. p.

Jako dowód prawdziwości naszych twierdzeń co do należytej ochrony zwierzyny, podajemy fakt, że na polowaniu w naszym lesie w Zalesiu i Borszczowie w dniach 20, 21 i pół dnia 22 stycznia b. r. padło 432 zajęcy 24 rogaczy i tylko 4 lisy na obszarze niespełna 1000 morgów i z zupełnem zaufaniem pozostawiamy osądzeniu czytelników „Łowca“ czy rezultat taki bez należytej ochrony i karmy byłby możliwym, i czy mógł by on polegać na chwilowem sztucznem ściągnięciu zwierzyny z okolicznych obcych rewirów, tembardziej, że te rewiry dotychczas proporcyonalnie do swego obszaru podobnego rezultatu nie wydały.

Jako dowód, jak nasza straż lasowa strzeże przed kłusownictwem, niech posłuży fakt, że właśnie w dniu, w którem korespondencya przeciwko nam wymierzona przyszła do Borszczowa, ta straż nasza przychwyciła kłusownika, syna gajowego z Wołkowiec niosącego sarnę zabitą w lesie Wołkowieckim, własności p. Czarkowskiego-Golejowskiego.

W końcu nadmieniamy, że nieprawdą jest jakobyśmy polowali na cudze kuropatwy, owszem prawdą jest, iż stan kuropatw na naszem terenie byłby znacznie lepszy od obecnego, gdyby nie nieszczęśliwe sąsiedztwa, jak w szczególności sąsiedztwo ordynacyi wysuckiej,

a jako dowód podajemy, że leśniczego tej ordynacyi, p. Welenowskiego, przydybaliśmy na tem, jak w miesiącu sierpniu 1901 r. na rowie granicznym przy naszym lesie zastawiał siecie na wychodzące po zachodzie słońca z lasu tego kuropatwy.

Na podstawie tego wszystkiego, cośmy wyżej powiedzieli, pozostawiamy ocenieniu czylelników, czy przeciw nam, którzy od lat jesteśmy członkami galic. Towarzystwa łowieckiego a podniesienie kultury łowieckiej na naszych terenach, uważamy zawsze za jeden z najpierwszych naszych obowiązków, godziło się występować w sposób w jaki uczynił to szan. korespondent z Wysuczki, tembardziej, że osobiście do takiego wystąpienia nie daliśmy żadnego powodu.

Maurycy i Józef Feldschuh.

Sprawozdanie drukujemy w całości, choć przekracza ono ramy faktycznego ustawowego sprostowania — drukujemy dla tego, że o opinię ordynacyi wysuckiej, jako znakomitego hodowcy zwierzyny i sąsiada łowieckiego jesteśmy najzupełniej spokojni.

Przedstawienie charakteru ordynacyi w inny sposób robi dla znających stosunki łowieckie borszczowskie wrażenie wprost humorystyczne. *Redakcya.*

Złoczów, dnia 26. stycznia 1904.

Czyniąc zadość licznym wezwaniom Redakcyi i nawoływaniu ze strony przyjaciół *„Łowca“* o sprawozdaniu z polowań, napisałem sprawozdanie z polowań w Muszkatówce i Urlowie.

Polując w Muszkatówce nasłuchałem się tyle pochwał o umiejętnem i sprężystem prowadzeniu polowań przez pp. Feldschuhów, że uważałem sobie za obowiązek wspomnieć o tem w dodatku do korespondencyi, tembardziej, że o prawdziwości pochwał nie miałem powodu wątpić.

Sądzę, że każdy zamiłowany myśliwy powinien z radością witać przyrost hodowców, prawidłowo prowadzących polowania, zachęcać ich uznaniem i wspierać sąsiedzką radą i pomocą. W pierwszym rzędzie byłoby to obowiązkiem delegatów towarzystwa przez wzmiankę w *„Łowcu“* nagrodzić dotychczasowe trudy około podniesienia łowiectwa i do dalszych zachęcić.

W tej to myśli uczyniłem dodatkową wzmiankę o polowaniach wspomnianych wyżej właścicieli i ani przypuszczałem, że ściągnę na nich tem publicznem uznaniem, taki silny atak, jaki został na nich wymierzony w korespondencyi z Wysuczki.

Nie będę się wdawał w krytykę tonu tej korespondencyi, zajmę sie jedynie odparciem zarzutów poczynionych pp. Feldschuhom jakoteż zarzutu mnie uczynionego, „że nie kreślę obrazów wiernych, lecz ze słuchów, lub *ad captandam benevolentiam.*“

Kiedy pisałem ową fatalną wzmiankę, miałem już zaproszenie na polowania pp. Feldschuhów, więc wdzięczność za zaproszenie była częściową pobudką do wzmianki czego się wcale nie wypieram, gdyż każdy z korespondentów ma zobowiązania wobec właścicieli, o których polowaniach pisze. Że podaję zdania cudze nie zaś własne, wyraźnie zaznaczyłem słowami „o ile się mogłem dowiedzieć“ — a sądzę, że bądź co bądź nie tak straszną zbrodnią i lepiej jest pisać o kimś ze słuchu dobrze — aniżeli również ze słuchu, obrzucać kogoś gradem zupełnie nieuzasadnionych zarzutów.

Tyle własnej obrony — a obecnie przystąpię do obalenia niesłusznych zarzutów poczynionych pp. Feldschuhom, gdyż czuję się do tego zniewolonym, jako mimowolny sprawca ataku na nich.

P. Czarkowski u właścicieli Borszczowa nie poluje, więc naocznie nie miał sposobności przekonać się o stanie zwierzyny i w ogóle o tamtejszych stosunkach łowieckich, też chyba tylko ze słuchów i bardzo pobieżnej obserwacyi poinformowanym był o wszystkiem — a jakiej wartości były te informacye, to faktami wykażę.

Jestem dalekim od przypuszczenia, że niechęć osobista podyktowała p. Czarkowskiemu tak ostre wystąpienie — i owszem mam to przeświadczenie, że ciskając gromy na głowy pp. Feldschuhów, czynił to w przekonaniu o słuszności sprawy i stał się w tej arcyniemiłej wycieczce, ofiarą tendencyjnych informacyi.

Właśnie wróciłem z polowania, które urządzili pp. Feldschuhowie w Zalesiu i Borszczowie, a sprawozdanie z tych polowań będzie chyba najsilniejszym argumentem przeciw zarzutom, uczynionym tymże przez pana Czarkowskiego.

Dnia 20 stycznia polowano w Zalesiu w 23 strzelb. Pogoda, prawie odwilż.

Rewir Suszczyn (140 morgów), położony przy samej wsi, a więc ustawicznie nawiedzany przez wiejskie kundysy, dał 76 zajęcy, 4 rogacze, lisa, sowę i łasicę, a nadto jeden ze straży, flankujący od wsi zrobił dubletę do kundysów.

Rewir Kopanki (118 morgów), zazwyczaj najlepszy wyjątkowo nie dopisał, gdyż w ogromnych gąszczach zwierzyna wracała na nagonkę: dał 31 zajęcy, 3 rogacze

Rewir Zapust (160 morgów), przylegający do Kopanek, wynagrodził zupełnie zawód doznany w sąsiednich Kopankach. — Zanim się jeszcze nagonka ustawiła, poczęły już padać pojedyncze strzały, a w miarę posuwania się nagonki wzmagała się strzelanina, aż w końcu miotu doszła do jednostajnej palby. W niepodszytej drągowinie daleko było widać, to też serce myśliwych radował widok zajęcy gromadkami uwijających się w miocie, nic więc dziwnego, że niektórzy myśliwi, nie zwykli takiego widoku, dostawali gorączki i nieco krzywymi śrótami buki i graby traktowali.

Strzałów padło w pierwszym miocie około 200 a zajęcy wyniesiono z niego 61. Ogółem dał Zapust *85 zajęcy, lisa i 2 kozły.*

Razem więc Zalesie (418 morgów) 192 zajęcy, 9 kozłów, 2 lisy, sowę, łasicę i 2 psy — czyli 207 sztuk ubitej zwierzyny.

Borszczów. Dnia 21. stycznia w 20 strzelb. Lekki przymrozek.

Rewir Synowiczy (90 morgów) 92 zajęcy, kozioł i lis.

Rewir Zamkowy (210 morgów) 73 zajęcy, 5 kozłów.

Dnia 22 stycznia w 17 strzelb. Kilkunastostopniowy mróz folguje z południa.

Rewir Saliski (100 morgów) 52 zajęcy, 6 kozłów, lis.

Hawryszów (100 morgów) 22 zajęcy, 2 kozły.

Tego dnia strzelano ogółem gorzej, gdyż palce marzły. Polowano tylko pół dnia.

Razem więc padło w Borszczowie (500 morgów) 239 zajęcy, 14 kozłów i 2 lisy. Na całem półtrzeciadniowem polowaniu: *431 zajęcy, 23 kozłów*, 4 lisy, 2 psy, sowa i łasica, *462 sztuk.*

Co się tyczy urządzenia całego polowania dość powiedzieć, że prócz sani dla myśliwych, było w ruchu jeszcze kilkanaście sani dla nagonki, to też całe tempo

i porządek podczas polowania znamionowały energiczne i wprawne kierownictwo, myśliwych nie od wczoraj. We wszystkich miotach były tryzuby i lizawki koło wody.

Świetny rezultat tego polowania daje chyba najlepsze świadectwo, że gospodarka myśliwska u pp. Feldschuhów jest wzorowo prowadzoną, a zarzut, że strzelają cudzą zwierzynę nie wytrzymuje zupełnie krytyki tembardziej, że specyalnie małe laski w Borszczowie, położone są wśród pól przeważnie do pp. Feldschuhów należących a w rewirze Synowiczym, który graniczy z polami gminnemi, na których polowanie dzierżawi p. Czarkowski, padło od granicy w pierwszym miocie 5, a w drugim 7 zajęcy, im zaś dalej od tej granicy tem obfitszym rozkład się stawał.

Rewiry pp. Feldschuhów nazwać można słusznie pepinierą zwierzyny łownej a nie szkodników, jak o tem najlepiej świadczy stosunek ubitych lisów, do zajęcy 431.

Mimowoli nasuwa się chęć porównania wyniku polowań pp, Feldschuhów i p. Czarkowskiego. Porównując spostrzeżemy, że u pp. Feldschuhów padło na niespełna 1000 morgach w $2^1/_2$ dniach tylko 10 kozłów i 46 zajęcy mniej niż u p. Czarkowskiego w siedmiu dniach, w knieji 2 do 3 kroć większej i w kociołkach branych jeden dzień.

Wnioski z tego porównania każden bezstronny myśliwy sam sobie wysnuje i najlepiej oceni wartość czynionych pp. Feldschuhom zarzutów.

Z przyjemnością zaznaczyć mi wypada, że korespondencya z Wysuczki nietylko pp. Feldschuhów nie zniechęciła, ale i owszem nowego dodała im bodźca do tem intenzywniejszego prowadzenia poprawnej gospodarki łowieckiej, a nawet była wzmianka, że w rewirze Synowiczym zaprowadzą z czasem bażanty. W Zalesiu są bażanty sąsiedzkie i kilkanaście sztuk nad myśliwemi przeleciało. Pp. Feldschuhowie bażantów tych nie strzelają i otaczają je pilną opieką, czekając aż się znacznie rozmnożą.

Na wszystkich uczestnikach polowanie to wywarło niezatarte wrażenie i każden z nich zachowa po niem najmilsze wspomnienie i szczerą wdzięczność dla gościnnych gospodarzy, którzy nie szczędzili ni pracy ni mamony, by nam czas jaknajmilej schodził. Nadmienię tu jeszcze, że za pudła zbierano składkę na Tow. szkoły ludowej, co dało nie złą sumkę, której jednakże dokładnie podać nie mogę.

R.

Z powodu nawału korespondencyi znaczną ich część musiała Redakcya odłożyć do następnego numeru.

KONKURS.

C. k. Dyrekcya lasów i dóbr skarbowych we Lwowie ogłasza niniejszem konkurs na podręcznik do nauki w c. k. szkole dla leśniczych w Bolechowie.

Warunki konkursu:

1. Podręcznik nie powinien przekraczać objętości 40 arkuszy druku zwykłej osemki i ma być pod względem treści i poziomu nauki zastosowanym do potrzeb i wymagań c. k. szkoły dla leśniczych w Bolechowie przepisanych ogólną instrukcyą dla szkół dla leśniczych.

2. Dzieło powinno być oryginalną pracą w języku polskim i tylko wyjątkowo zawierać może tu i ówdzie tłumaczenia ustępów z autorów obcych.

3. Rękopisy czytelnie napisane przyjmować będzie c. k. Dyrekcya lasów i dóbr skarbowych we Lwowie Odd. I. aż do dnia 31. września 1906.

4. Za prace odpowiadające wymaganiom konkursu przyznane będą dwie nagrody, a to pierwsza w wysokości 600 Kor., druga w wysokości 200 Koron.

5. Nagrody rozdaje c. k. Ministerstwo rolnictwa we Wiedniu podług własnego uznania, a biorącemu udział w konkursie nie przysługa prawo odwołania się od tego rozstrzygnięcia do żadnego innego sądu.

6. Niezależnie od nagrody otrzyma autor dzieła uznanego za najlepsze, względnie nakładca tego dzieła stosowną subwencyę na koszta druku pierwszego wydania ale tylko pod warunkiem, że zgodzi się, aby dzieło wydanem było z żądanemi ewentualnie przez c. k. Ministerstwo rolnictwa zmianami i poprawkami i że cenę dzieła oznaczy w porozumieniu się z c. k. Ministerstwem

7. Gdyby co do warunków w punkcie 6-tym ustanowionych nie przyszło do porozumienia, natenczas obowiązanym będzie autor dzieła, któremu przyznano I-szą nagrodę wydać je kosztem własnym w przeciągu dwunastu miesięcy po rozstrzygnięciu konkursu.

Wszystkim innym autorom biorącym udział w konkursie a zatem i temu, którego dziełu przyznano II-gą nagrodę, przysługa prawo zupełnie swobodnej rozporządzalności swojem dziełem.

Wspomnianą instrukcyę nabyć można w Ekonomacie c. k. Dyrekcyi lasów i dóbr skarbowych Odd. I. po cenie 1 Korony za 1 egzemplarz.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.